Nr. 33. Poznań, dnia 12. Sierpnia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PIĘKNE ZA NADOBNE

(HUMORESKA)

napisał

Władysław Sabowski.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Nie potrzebujemy mówić, że po téj rozmowie Czesław Duś był w siódmem niebie, a niebo to wyglądało zupełnie tak jak kamienica po Kalbergerze, któréj się już sądził być panem.

Nazajutrz, na godzinę przed chwilą oznaczoną przez brata, był już gotów i czekał na jego przyjście, sprawdzając na wszystkich zegarach i zegarkach, jakie miał w domu, ile rzeczywiście jeszcze minut przeniecierpliwić się będzie musiał, nim nadejdzie błoga chwila.

Nareszcie błoga chwila nadeszła. Józef stawił się punktualnie i dobrze zrobił, że się nie spóźnił, bo każda minuta opóźnienia byłaby dla Czesława najokrutniejszą torturą.

Poszli.

Panna Pelagia nie przewidywała co ich sprowadza, ale czy jakieś instynktowe przeczucie przejęło ją wzruszeniem, czy też widok Opałowicza robił na niéj pewne wrażenie, lub wizyta Czesława kazała się czegoś niezwykłego spodziewać, dość że w jéj twarzy i głosie znać było pewne zdziwienie, jakiś niepokój czy walkę.

Czesław wyglądał dziwnie. Miał prawie minę tryumfatora, a przecież biło mu serce obawą zawodu i nieszczęścia.

Józef był poważny i uroczysty.

„Panno Pelagio“, rzekł, „czy uważasz mnie pani za uczciwego człowieka?“

„Pan wiesz najlepiéj“, odpowiedziała głosem dosyć wyraźnie drżącym, „że do takiéj nazwy i do takiéj opinii przedewszystkiem u mnie masz prawo.“

„I sumienie mi mówi, że na nią zasługuję, panno Pelagio... popełniłem w życiu błędy, których żałuję i które starałem się, albo będę starał naprawić... lecz z drogi uczciwości nie zboczyłem nigdy, bom nigdy świadomie źle nie czynił. Uwierzysz pani zatém, jeżeli pani dam słowo uczciwego człowieka...“

„Bez najmniejszego wahania, panie.“

„Otóż daję pani słowo uczciwego człowieka, że mój brat Czesław bez żadnych w tém dla siebie widoków, owszém z wyraźną krzywdą swoją, oddał mi największą przysługę, którą teraz odpłacam pięknem za nadobne, dając mu przed panią to świadectwo.“

Panna Pelagia słysząc te słowa zbladła bardzo i zachwiała się trochę, mimo to miała dość siły, aby wyciągnąć rękę do Czesława i rzec:

„Panie Czesławie, mam tylko jedno słowo...“

Czesław posunął się, ażeby pochwycić tę rączkę, która była synonimem kamienicy i intratnego magazynu. Opałowicz zatrzymał go giestem.

„Chwilkę jeszcze... Pani nie pytasz się nawet jaka to była przysługa?...“

„Czyż mi nie dość pańskiego słowa?... ufam panu.“

„Tak nieograniczenie?... czyż mam do tego prawo?“

„Masz pan... zaufałam ci raz i méj ufności nie nadużyłeś.“

Ta część rozmowy była dla Czesława niezrozumiałą, mało go to jednak obchodziło. Treść i istota tego co mówiono była dla niego gdzieindziéj, aż w tytule własności domu po Kahlbergerze i magazynu panny Firmskiéj, — jakie kiedyś stosunki mogły istnieć między jego bratem przyrodnim i przyszłą żoną, uważał to za obojętne zupełnie.

„Dziękuję pani“, mówił daléj Opałowicz, „kiedy mi jednak ufasz, bądź ufną do końca. Chcę żebyś wiedziała jaki to był rodzaj przysługi, i powiem, lecz nie dzisiaj... tylko w dzień zaręczyn, które się odbędą za tydzień.“

„Za tydzień, drogi bracie“, zawołał Czesław, rzucając mu się na szyję, „ach! najdroższy Józefie, zbawco mój i dobroczyńco... jakże ja ci się odwdzięczę?“

„Nie potrzebujesz mi się odwdzięczać... będzie to tylko piękne za nadobne... spłata długu, który ci się oddawna odemnie należy.“

Tydzień, który upłynął po téj rozmowie, miał dla każdego z trojga jéj uczestników inakszą długość. Najkrótszym był dla panny Pelagii, którąby go rada do nieskończoności przedłużyć; bo jéj się wcale nie spieszyło zostać panią Dusiową, najdłuższym dla Czesława, który pragnął żeby ptakiem przeleciał, nie wiadomo zaś jakim dla Opałowicza, który regulował swe interesa, sprowadził do Poznania dzieci, słowem urządzał się tak, jakby go zaraz po zaręczynach brata czekała jakaś ważna zmiana w kolejach życia, naprzykład... podróż bezpowrotna do Ameryki lub co podobnego.

Panna Firmska w ciągu tego tygodnia miała parę razy oczy czerwone. Nikt się temu nie dziwił, wiedziano bowiem powszechnie, że każda dziewica, wychodząca za mąż musi odpłakać swoje, chociaż płakałaby jeszcze bardziéj, gdyby ją kto chciał pocieszyć w taki naprzykład sposób:

„No, no, moje dziecko... obetrzéj łzy... nic z twego małżeństwa nie będzie.“

Czesław Duś miewał także czerwone oczy, ale nie z płaczu, tylko z bezsenności. Bliskość szczęścia odbierała mu sen, a kiedy znużenie skleiło mu powieki, to mu się śniły rzeczy arcynieprzyjemne. Deszcz padał, zagrzmiało, piorun uderzył niedaleko, on się zrywał przerażony, bo mu się majaczyło, że to kamienica po Kahlbergerze się wali. Ktoś przechodził nocą pod oknami jego sypialni i rozmawiał z drugim nieco głośniéj, ale o najobojętniejszych rzeczach, on się znów zrywał przerażony, bo mu się śniło, że podsłuchał jak się panie poznańskie zmawiały, żeby nic a nic nie kupować w magazynie panny Pelagii Firmskiéj.

Takie sny dręczyły go po nocach, a w dzień odespać tego czem się w nocy Morfeuszowi zadłużył, nie pozwalało układanie najrozmaitszych planów i planików przyszłego urządzenia domu, bilansu przyszłych wydatków i dochodów, projektów przyszłych oszczędności, obmyślanie pewnych a korzystnych lokat dla mających się w przyszłości zwiększyć kapitałów.

Między te plany i planiki wplątywała się niekiedy myśl natrętna a niepokojąca swoim sfinksowym charakterem.

Myślą tą było pytanie:

„Co też ja tak dobrego zrobiłem kiedy memu braciszkowi, że tak się łatwo zgodził zaświadczyć o tém przed Pelasią, ażeby mnie z nią wyswatać?“

Niekiedy rozcinał tę kwestyę bez długich ceremonii, mówiąc do siebie:

„Ba! mój braciszek Opałowicz gardłuje za mną, bo... głupi! Gdyby był cokolwiek mądrzejszym, toby zamiast mnie swatać, sprzątnął Pelasię dla siebie, wraz z kamienicą i magazynem. Kiedy się komu nadarzyło tak w samą porę zostać wdowcem, to powinien umieć korzystać ze swego szczęścia...“

Takie rozwiązanie niekiedy zaspakajało jego podejrzliwość, niekiedy jednak podejrzliwość była bardziéj wymagająca, a wtedy Czesław Duś mówił do siebie:

„Gdyby jednakże mój brat przyrodni chciał mi tylko figla wypłatać?...“

Na takie przypuszczenie zimny pot występował mu na czoło, czemu jednakże nikt się nie dziwił, wiadomo bowiem że każdy śmiertelnik dosyć się musi napocić, nim się zdoła połączyć niezerwanym węzłem małżeństwa z zyskowną kamienicą i dość sporą rentą.

Jeden tylko Opałowicz nie miał czerwonych oczu i nie bladł, a temu my znów z kolei dziwić się nie będziemy, zwróciliśmy już bowiem wyżéj uwagę, że przyrodni brat Czesława w tygodniu poprzedzającym zaręczyny, nadzwyczaj mało miał czasu.

Tak upłynął nareszcie ów umówiony tydzień i godzina oczekiwana z takim niepokojem przez jedną, a z takiem upragnieniem przez drugą stronę, wybiła na zegarze wieczności.

(Dokończ. nast.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Znaczenie wody w życiu narodów.

(Dokończenie.)

Przejdźmy do Grecyi, do téj Grecyi dla któréj czujemy tyle sympatyi, tyle nawet wdzięczności, bo jéj cywilizacya stała się fundamentem naszych duchowych przyjemności, bo jéj bogowie napełniają naszą fantazyę, dają natchnienie naszym poetom i sztukmistrzom, bo jéj bohaterowie na wieki pozostaną wzorem, godnym do naśladowania narodom, których przemoc gniecie i w kajdany zakuwa.

Tu jednak nadaremnie szukamy śladów ekonomii wody, bo rolnictwo było zajęciem niewolników, niegodném wolnych obywateli. Dla tego to w Sparcie, w tém mieście na

wskroś komunistycznėm, od czasu do czasu wymordowano Helotów, aby się pozbyć zbytecznych konsumentów. Zadziwiający rozkwit nauk i sztuk nastąpił kosztem trwałości Grecyi, choć dzieła Greków przetrwały wieki, i trwać je będą. Już za czasów Strabona ze stu miast i miasteczek, jakich się liczyło za czasów Likurga w Lacedemonii, tylko istniało jeszcze trzydzieści. Po krótkiém kwieciu, Hellada stała się zdobyczą Rzymian, na których kulturę wprawdzie znaczny wpływ wywarła, z którymi atoli późniéj jeden los dzieliła. I obecnie Grecy jeszcze nie znają wartości wody; jeszcze w naszych czasach chorują na brak rozwoju rolnictwa, tak dalece, że w ostatniéj wojnie o swobodę jeden z generałów kazał ściąć trzydzieści tysięcy oliwnych drzew, by mieć miejsce, gdzieby pułki jego wygodnie marszerować mogły. Grecya dopiéro zakwitnie, kiedy rząd jéj weźmie się do nawodnienia pól, dotąd tylko krwią wrogów i bohaterów swoich użyznionych.

Jedźmy do Egiptu, który to kraj wraz ze swemi mieszkańcami dotąd zapoznany, bo czerpano historyę ze źródeł nieprzyjaciół i z opisów stronnych mnichów, którzy instytucyi tamecznych nie rozumieli, a może i z tendencyi we fałszywém świetle przedstawiali. Dziś już nauka dużo wyjaśniła rzeczy, na korzyść tego odwiecznego narodu przemawiających i mamy niepłonną nadzieję, że ona nas jeszcze wiele pożytecznych rzeczy nauczy, a przynajmniéj, że nam prawdę pokaże.

Egipcyanie może byli najintelligentniejszym i najskrzętniejszym narodem starożytności, który walką z naturą zdobył ziemię, na któréj mieszkał, i którą doprowadził do niesłychanego rozkwitu. Bez téj walki z naturą Egipt byłby pustynią, jak niedaleka Sahara, jak kamienista Arabia.

Proszę sobie przedstawić lato bez deszczu trwające ośm miesięcy, potém dwumiesięczne zalanie całéj ziemi i dwa miesiące przez które rośliny się rozwijają, potém znów straszna susza się rozpoczyna. Taki kraj znaleźli pierwsi przybysze w dolinie Nilu.

Po mału nauczyli się ci przybysze i ich potomkowie ciągnąć korzyść z powodzi przez Nil zrządzonéj najregularniéj i na niéj ugruntować regularne rolnictwo, które z wązkiego pasa ziemi, wielkości kilkuset mil kwadratowych, zrobiło państwo karmiące ośm milionów mieszkańców, którzy tak kolosalne pomniki po sobie pozostawili, że dziś jeszcze nas zdumiewają.

Dawniéj, podług podań niepojmujących ludzkiego ducha kronikarzy, i idących za ich śladem pseudo-historyków, sądzono że pyramidy to tylko olbrzymie grobowce faraonów; dziś wiemy że służyły za tamę przeciwko napierającym piaskom pustyni, lub do mierzenia głębokości wody jeziora Moeroë, a zapewne téż dla wzmocnienia jego grobli.

Niezliczona masa kanałów rozprowadzała wodę po całym kraju, równie niezliczona ilość grobel i szluz służyła do regularnego jéj odpływu; niesłychana liczba machin czerpiących wodę, była w ruchu w suchych latach dla zroszenia ziemi, lub takich miejsc kraju, do których powódź nilowa nie dosięgała; a wszystko to było regulowane prawem i uświęcone formami religijnemi, które wnikały do głębi serca ludu, bo były związane z jego materyalnym bytem.

Równolegle z Nilem, zaczynając się w Wyższym Egipcie, ciągnął się kanał olbrzymi, którego ślady jeszcze po dziś dzień egzystują, a który służył do obdzielania wodą mieszkańców lewego brzegu rzeki. Z tego kanału, około dziesięć mil powyżéj Memfis wyprowadzony był drugi kanał ku zachodowi, a to ramię kanału miało trzysta stóp szerokości. Służyło ono do użyzniania pól w poprzecznéj dolinie, leżącéj za potężnemi skałami, a otoczonéj olbrzymiemi górami. I tu, u wejścia do téj doliny były dwie pyramidy i świątynia-pałac, w którym było trzy tysiące pokojów, połowa nad ziemią a połowa w ziemi. Ten pałac był poświęcony, jak to wskazał nadpis nad wchodem do niego: „królowéj świata, słońcu“, w egipskim języku: Lapurontho, z czego Grecy późniéj zrobili wyraz „Labirynt“. Dolina ta, w któréj utworzono sztuczne morze („Piom“), w dawnych czasach była prawdziwym rajem, w którym i miasto Piom leżało. Z tego morza znów poszły dwa kanały na lewo i prawo, których woda się regulowała przez ogromne szluzy, a które ostatecznie służyły do napełniania jeziora Moeris, tak zwanego od imienia tego, który je założył. Przestrzeń tego, za rezerwuar wodny służącego jeziora wynosiła 48,000 morgów podług jednych, a podług drugich dziesięć razy tyle*). Prawdopodobnie to jezioro, obecnie bezwodne, było wykopane na 3000 lat przed naszą erą i jest również świadectwem, że ród ludzki nierównie dawniéj istnieje na ziemi, niżeli zwykle twierdzą.

Nie wolno nam dłużéj zatrzymywać się dla rozpatrywania innych prac starożytnych Egipcyan, dokonanych dla ekonomii wodnéj. Ręka ludzka, ręka tyrana Kambyzesa rozpoczęła zniszczenie tych prac, i od tego to czasu datuje się upadek Egiptu, przy którym geniusz ludzkiego rodu zasłonił sobie oczy, by nie widzieć zbrodni swych dzieci.

W naszych czasach Egipt żywi zaledwie dwumilionową ludność, zbiedzoną materyalnie i intellektualnie, a bogatą tylko w urzędników tureckiego despoty.

Rozpoczęto wprawdzie znów roboty dotyczące ekonomii wodnéj; lecz bez planu i systematu wykonane, nie obiecują one ni korzyści, ni trwałości. I tak ten kraj, którego ludność lichwiarz hebrajski Józef blisko cztery tysiące lat temu szachrajskim sposobem wyzuł z własności, zabierając biednym ziemię za zboże dostarczane w kilku latach nie urodzaju, do dziś dnia uwolnić się nie może z niewoli, którą urządzenia komunistyczne cudzoziemca zaprowadziły.

Co dawniéj kanałami i szluzami obficie nawadniano, dziś po części dokonywa się za pomocą machin, Sakya, poruszanych wołami, a studnie do tego nawodnienia dostarczają wody. W Delcie — trójkącie przy ujściu Nilu — obecnie jest takich Sakya 40,000, a w Nubii i Sennarze przeszło 110,000, z których niektóre do 70 stóp głębokie są wykute w skale twardego Syenitu.

W Arabii ta część, którą zwykle nazywają szczęśliwą, jest nawodnioną sztucznie i tu zajmuje się naród rólnictwem. Reszta półwyspu, tak zwana kamienista Arabia, jest pustynią od wieków, miejscem pobytu koczujących i rabujących beduinów.

*) Administracya szluz tego jeziora i jego kanałów, kosztowała rocznie 72,000 tal. Rybołówstwo w jeziorze przynosiło 5 razy tyle.

Syrya była bogata w kanały. Urodzajność dawnéj Palestyny była tylko skutkiem nawodnienia, które szczególniéj pod panowaniem Rzymian upadło. Rzymianie woleli żydów wytępić, niżeli ich przychylność pozyskać przez prace pokoju. Rzym to moskiewski carat starożytnych ludów. Jeszcze obecnie są resztki starych urządzeń wodnych; w pięknéj dolinie Betleemu są jeszcze trzy stawy ogrodu Salomona, z których każdy około 400 stóp długi, 175 stóp szeroki a do 40 stóp głęboki. Część wody tych stawów sprowadza wodociąg do Jerozolimy.

Nadzwyczajnie rozległe było nawodnienie zastósowane w Assyryi. Tam między Eufratem i Tygrysem, gdzie dziś w strasznéj pustyni widać kupy ruin Babylonu i Niniwy, były kiedyś bogate ogrody, pola i łąki, poprzerzynane w szerz i dłuż kanałami.

Naród ten jawi się na 2000 lat przed naszą rachubą czasu na scenie historyi i zaraz pokazuje się narodem rolniczym, który przez przepisy religijne i prawa państwa był połączony z ziemią, a przez kanalizacyę z niéj wydobywał plony. Nad rzekami ciągnęły się groble niezmiernie szerokie; kanały szerokie jak rzeki były regulowane przez szluzy, odbierały wodę z rzek i rozprowadzały ją po całym kraju. Królowa Nitocris kazała wykopać jezioro, podobne egipskiemu Moeris i połączyła je olbrzymim kanałem Pallacepas z Eufratem, który przez dwadzieście i dwa dni dopiero, mimo swéj wielkości, mógł napełnić owe sztuczne morze.

Tysiąc dwieście lat późniéj to jezioro stało się zgubném dla Babylonu, bo Cyrus wpuścił w nie — kiedy ono już do połowy piaskiem było zasypane — wodę Eufratu, a przez koryto rzeki wdarł się do miasta.

Jak zresztą sławna Semiramis pojmowała ważność nawodnienia pokazuje napis, który znalazł Aleksander macedoński w jednym ze swoich pochodów. Ten napis brzmi jak następuje: „Ja Semiramis przymuszałam rzeki płynąć tam, gdzie chciałam, a chciałam tylko, gdzie to było z pożytkiem; użyzniłam suchą ziemię, nawodniając ją mojemi rzekami.“ Urodzajność ziemi téż była zadziwiająca. Herodot — ojciec historyków — widział ją i tak o niéj pisze: „Ziemia to najlepsza dla płodów Demetra. Dla uprawy zbóż tak jest doskonałą, że w ogóle dwieście ziarn rodzi; w czasie urodzajnym także i trzysta. Źdźbła pszenicy i jęczmienia są na cztery palce szerokie, a proso i sezam jak drzewa wyrastają, to tylko tak przytaczam, bo choć ja to widziałem, to ci co nie byli w babylońskim kraju, może to już będą uważać za przesadzone, co tu powiedziałem o zbożu.

Dziś, po tylu rewolucyach i wojnach, jakie kraj ten pustoszyły, nie tylko cienia téj kultury, ale i téj urodzajności nie ma w okolicach Babylonu. Wszystko co jeszcze dotąd tam się znajduje dobrego, to resztki prac inteligentnych przodków, a pod rządem despotycznym jeszcze żaden kraj nie kwitnął. Dobrobyt narodu potrzebuje swobody i oświaty.

Czy Panie nie słyszały nigdy o różach Szyrasu, sławnych na całym świecie, jak śpiew słowików w śród nich się gnieżdżących? Zapewne znają Czytelniczki Sobótki te przecudne róże, bo całemu światu one są znane. Mniéj znaną jest przyczyna, która w tak gorącéj stronie jak Armenya, Medya, Suziana, Bakrya i Persya produkuje tak przecudne kwiaty. Nią jest chłodna woda, płynąca przez „Karuzy“ t. j. przez podziemne, częstokroć w skałach wykute rowy z gór, a użyzniająca i orzeźwiająca całą roślinność bogatych ogrodów, pól i łąk wzmiankowanych krajów.

Trwałość karuzów, których w samym Szyrasie jest zapisanych 52,000, zabezpieczyła je od zniszczenia tak przez wpływ czasu, jako i przez wojny, które się przez liczne wieki tam toczyły. One też są przyczyną, że państwo perskie przetrwało wszystkie ataki od czasów Aleksandra macedońskiego, aż do naszych. Z wszystkich państw środkowéj Azyi, o których historya w ogóle wspomina, jedna Persya tylko dotąd istnieje.

Indye wschodnie od najdawniejszych czasów kwitły przez nawodnienie; więcéj niż połowa ogromnego kraju bez niego byłaby pustynią. Przez niesłychanie nędzny rząd angielskiéj kompanii wschodnio-indyjskiéj wiele zniszczało, co poprzednie rządy utworzyły, mimo to, w saméj prezydencyi Madras jest jeszsze 53,000 stawów i 300,000 wodociągów rozmaitych. Niektóre z tych stawów, to nie już jeziora, ale małe morza, bo mają po 7 do 38 tysięcy mórg obszaru. Staw w Usendu zawiera 12 milionów kubicznych metrów wody. I na wyspie Cejlan jest kilka obszernych sztucznych jezior, z których jedno pod Mainery ma cztery mile obwodu.

Wszystkie jeziora są wykopane ręką tych samych ludzi, którzy jak to już Czytelnicy Sobótki widzieli, także ogromne świątynie wybudowali, a którzy od dawna aż do tego czasu wodą z jezior sprowadzoną przez liczne kanały na pola, produkują ten ryż, który my konsumujemy. Naród indyjski jest niezmiernie pilny i na małém poprzestający. Jakim sposobem ten tak pracowity szczep spadł tak nisko, że aż do dziś dnia znosi cierpliwie niewolę swoich i cudzych?

Gdzie trudno wodę sprowadzać na pola rowami, tam się to uskutecznia za pomocą machin, poruszanych już to przez ludzi, już téż wołami. Takie machiny, nader proste zresztą, nazywają się w Indyach „Kupillay“, i widzieć je można także w północnéj Afryce, a nawet w Hiszpanii, gdzie się nazywają „Kappleva“, co jest do tego stopnia podobném do indyjskiéj nazwy, że każdy łatwo widzi zkąd owe machiny ku zachodowi się dostały.

Gdzie tylko w Indyach urządzenie wodne się zniszczy, co pod panowaniem angielskiem już w licznych miejscowościach nastąpiło; gdzie tylko woda groblę przełamuje, tam powstaje „Dshungl“, puszcza właściwa tylko temu krajowi, w któréj Tygrys panuje, a od któréj człowiek jak najdaléj ucieka.

Przyjemniejszy obraz przedstawiają Chiny.

W tym kraju żyje $^2/_5$ wszystkich ludzi na świecie, bo przeszło 420 milionów, a rólnictwo tam jest dla zaprowadzonéj od wieków ekonomii wodnéj, na najwyższym szczeblu. Wszystko, co się zwykle mówi i pisze o stagnacyi cywilizacyi w tym kraju, wszystkie banialuki rozsiewane nawet przez misyonarzy, są brednie i fałsze. Cywilizacya tam jest wysoko posunięta, acz w innym kierunku jak na-

sza i chińczycy nie jedno za śmieszne uważają, co u nas uchodzi za arcy poważne. Duch tego, zresztą nader praktycznego, nie skłonnego do metafizycznych mrzonek, narodu, ma od wieków inny kierunek i wszystko co mu zarzucić można jest to, że — nie ma naszéj cywilizacyi. Ale czy też nasza jest najlepsza? No! każda liszka swój ogon chwali! Tylko tyle powiem, że w tym narodzie żyje duch wynalazków, pięknych sztuk, inteligencyi i praktycznéj filozofii, jak w żadnym innym.

Naród ten ma pasyą do ogrodów i żaden inny nie posunął ogrodnictwa tak daleko, jak on; w Chinach ogrodnictwo jest prawdziwą nauką, za pomocą któréj z ogrodu tworzą mały świat, w którym człowiek symbolicznie i idealnie wszystko to znajduje, co w rzeczywistéj naturze.

Cesarze i bogacze rozwinęli tam zbytek w ogrodnictwie, który jest bajeczny. Kto pisze historyą ogrodownictwa w Chinach, pisać musi kistoryą wszystkich dynastyi.

Cesarskie ogrody miały niekiedy ogromną rozległość. Ogród cesarza Hoang-Ti miał 20 mil obwodu, a w nim było siedm pałaców. W każdym z tych pałaców mieszkał zdetronizowany król, — siedm Wilhelmshoe na raz i blisko siebie.

Te ogrody nieraz stały się przyczyną rewolucyi, bo i wiele ziemi odebrały rólnictwu, a co gorsze, wiele wody potrzeba było dla ich utrzymywania. Ogród obecnego cesarza jeszcze ma 10 mil obwodu i jest non plus ultra całéj sztuki ogrodnictwa. Rozmaite widoki i piękne i wielkie rośliny wszystkich stref, wodospady, strumyki, wsie i zamki nawet rzeki i jeziora ożywiają ten ogród, a tu cesarz jedynie widzi, co się w świecie dzieje. Całe życie i ruch ludzi — ale w świątecznych szatach, zatém zidealizowane, bo etykieta chińskiego dworu zabrania cesarzowi pokazać się przed rzeczywistym narodem, przedstawia się, jakby na scenie jego oczom. Majestat niebieskiego państwa ze swego kiosku przypatruje się temu życiu, — w ogromnym teatrze, za jaki zapewne tak urządzony ogród uważać można.

O Japonii, Tybecie, Bucharyi tylko to samo mógłbym powiedzieć, co dopiero mówiłem o Chinach, a nie wolno się powtarzać nie chcąc się stać nudnym. Dla tego też nic nie powiem już o ekonomii wody tych krajów, ale się zapytam, jaka jest u nas, na naszéj ziemi ekonomia wodna?

Wszakże i my od wieków podobno zajmujemy się rólnictwem; przemysł i handel od wieków u nas — w pogardzie; od wieków mamy Wisłę, Wartę, Niemen, Dniepr — a od wieków pozwoliliśmy tym rzekom unosić szlam do morza, a błotom zarażać swemi wyziewami i kwasami jakie stojąca woda tworzy w gruncie, powietrze i niszczyć nasze siewy.

Czyby dziś kto wierzył, że polski naród, naród znany zresztą ze swéj waleczności, nie był nigdy podupadł, gdyby od Zygmunta III, zamiast zajmować się próżnemi sporami metafizycznemi, które się wreszcie w prześladowania religijne wyrodziły, był zajmował się kanalizacyą rzek, osuszaniem błót i pól?

A jednak tak jest rzeczywiście! Zajmując się bowiem idealnemi rzeczami, nie spostrzegł, że w około niego tworzy się realność nowa, nowe położenie rzeczy, nowe państwa, których wzrostowi nie przeszkadzał, a owszem wspierał najszlachetniejszą krwią swoją, a ta idealna polityka, grób wykopała naszéj niezawisłości!

I dziś jeszcze bawimy się w czczy idealizm! Zamiast brać się do pracy, do melioracyi gruntów, zaniedbujemy nawet sposobność jaką nam „Spółka melioracyi gruntów“ nastręcza i wszystkie czasopisma o niéj milczą, jak zaklęte, jakby ona nie była objawem naszéj żywotności, i jakby ona egzystowała na księżycu.

Tymczasem prawie każda wiosna trapi nas wylewami, każde prawie lato suszami, i w jesieni dla stojącéj w roli wody siewy nasze gniją, a kiedy Niemcy prawie zawsze



Pomnik ks. Kordeckiego w Częstochowie.

z poprawionych pól swoich mają plon obfity, my z każdym rokiem mniéj zbieramy.

Czy nie pozwalamy naszym idealizmem Niemcom żeby nas germanizowali? Wszakże i w rolnictwie ten się cofa, co nie postępuje — a my zaiste nie postępujemy.

O kanałach na naszéj ziemi i wspomnieć nie warto; kiepski augustowski, Ogińskiego i nie wielki bydgoski nie służą rolnictwu a żegludze i zostały dopiero po rozbiorze założone. Kanał Obry służy wprawdzie rolnictwu, głównie dla osuszania błót, lecz woda jego ginie bez pożytku, choćby mogła być użytą do użyzniania niejednéj piaszczystéj przestrzeni, świadczącéj dotąd o naszéj — idealności!

PIES CYWILIZATOR.

BAJKA.

Natura po kres pewien da się przeistoczyć:
Sroka gadać — koń może sztajera wyskoczyć,
Osieł liczyć godziny, pchła strzelać z armaty,
Zając nawet zające gonić, jak przed laty
Zdarzyło się w myśliwstwie sławném pana Paska,
Człowiek nie tylko zwierza pojmie i ugłaska,
Ale go i nauczy mnóstwa zgrabnych sztuczek.
O tych ludzkich sposobach zasłyszał gdzieś kruczek
Pies z podwórza, ochłapów kuchennych amator,
Urodzony polityk i cywilizator,
Bo mu przyszło do głowy, domowym zwierzętom:
Gęsiom, kaczkom, indykom, kurom i prosiętom
Zakazać przyrodzonych gdaków, piań i kwików,
Słowem kruczek wystąpił jako metr języków,
I wykładał téj rzeczy codzień od świtania
W teoryi i praktyce zacny kunszt szczekania.
Zrazu tępo, lecz z czasem szła nauka gładko,
Zwłaszcza że mistrz i łajał i kąsał nie rzadko.
Więc po latach coś kilku niesłychane dziwo,
Wszystek drób, nawet chlewnik — choć nieraz fałszywo,
Jednak psiemi głosami warczał, skomlał, szczekał,
Aż kto żył — słuch zatykał i z domu uciekał. —
Jeden tylko pan Dziedzic, o którym dość jawnie
Gadano, że majętność tę nabył nieprawnie,
(A wiemy, na złodzieju czapka zawsze gore)
Radował się z szczekania w porę i nie w porę —
I głaszcząc po łbie kruczka tak mówić doń raczył:
„Toś mi zuch, żeś co żyło w zagrodzie téj spsiaczył,
„Bo i prawy właściciel do niéj się nie przyzna
„Gdy usłyszy szczekanie, powie: Psia ojczyzna!“

Szczęściem słowik na drzewie śpiewał co rok w Maju
O dźwięku brzmień wrodzonych, starym obyczaju
Co rządzi zwierzętami od świata początku —
O! długoby snuć można jeszcze z tego wątku!
Ale na co słów wiele, gdy jedno wystarczy:
Gęś niech gęga, kur pieje, a kruczek niech warczy.
Tak było od początku, tak do końca będzie,
Choćby tysiące kruczków siadło na urzędzie.

L. S.

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Dokończenie.)

Tyle lat upłynęło od owego czasu, iż zaledwo streścić tu mogę dziwną powieść wyniesioną z kopalni Wielickiéj, którą mi wówczas opowiedział towarzysz młodości.

Pracując w kancelaryi żupnéj przeglądał Kazimierz papiery starych archiwów Wielickich, odczytywał bardzo pilnie wizyty komisarzy królewskich z ostatnich wieków. Częste tu były wzmianki o zapadłych szybach i chodnikach, które nie wizytowano, bo się tam już sól nie wydobywa. Dwa razy nawet znalazł wzmiankę o królewskiéj skrytce w żupach wielickich, o którą się komisarze królewscy rozpytywali, ale żupnicy zbyli ich, że nie wiedzą gdzieby tąka skrytka królewska była, a jeżeliby się znajdować miała w zapadłych szybach, z których się sól nie bierze, to już ciż nikt nie wie o niéj i chybaby gdzieś w archiwach kanclerskich trzeba szukać śladu takiéj skrytki.

Bardzo mnie to zaniepokoiło, mówił Kazimierz, i począłem w archiwach szukać kart starych żupników zapadłych szybów i chodników opuszczonych. Znalazły się jakieś fragmenta i kilka mięsięcy upłynęło bardzo mozolnych studyów, zanim się zorjentować mogłem po tych kartach i tradycyi najstarszych górników, po krzyżach i znakach nie pewnych, znaczonych w sali po ścianach chodników, gdzie droga prowadzi do zapadłych szybów.

Oczywiście gdzie się dzisiejsze kopalnie kończą, tam się zaczynają dopiero zapadłe banie i chodniki. Wierz mi, jeżeli jakieś poszukiwania i odkrycia po ziemi i bożym świecie, mogą zająć nasz umysł, nierównie wyższy jest urok odkryć śladu ludzkiéj pracy i ręki pod ziemią i stąpić w tajemniczy przybytek, gdzie od wieków ludzka nie stąpiła noga.

Nieznaczna nora jest wejściem do tych zapadłych szybów, nie byłbym się do niéj spuścił, gdyby nie były drzewem stęplowane zapadłe chodniki. Sklepienia kopalni osiadły tu i przycisnęły swym ciężarem stęplowanie tak bardzo, że grube okrągłe drzewa dawniejszéj stolni były sprasowane od ciężaru i leżały płasko jak karty na sobie. Czołgałem się nieraz całemi godzinami na brzuchu, tak nisko siadły te sklepienia. Nieraz był przeciąg powietrza tak wielki

i silny, że mi tchy zapierało. Jak głosy czyscowych duchów, tak wył i żalił się prąd tego powietrza po podziemnych norach.

Nieraz uderzał ucho jakiś odległy niby szum wód spadających kaskadą powyżéj sklepień kopalni, aż razem ustawały wszystkie; mogłem znowu powstać i sklepiły się wysokie banie jak kościoły, a kiedym rakietę zapalił i puścił w powietrze, aby oświecić banię, niedochodziła nieraz do sklepienia, ale pękała w górze i gasła w powietrzu i było znowu ciemno i wszystko tajemnicą na nowo.

Z takiéj sklepistéj bani rozchodziły się zwykle chodniki, szyby i zaniedbane wschody w różne strony i w różnych kierunkach, ale strach było opuścić norę, którą się tu doczołgałem i strach było pomyśleć w co się obrócę jak światła niestanie, więc nim się jeszcze połowa dopalała światła znaczyłem po swojemu miejsce i wracałem co spieszniéj.

Pokazało się, iż coraz więcéj światła i żywności trzeba było z sobą zabierać chcąc się głębiéj wedrzeć do zapadłych szybów i coraz większe kłębki nici wypadało brać z sobą, aby snuć ślad po ziemi i znać długość drogi odbytéj, nie zwiedzać tych samych chodników po raz wtóry i mieć w końcu nitkę do powrotu w tym labiryncie podziemnego świata.

Świat téż to, świat osobliwy! Często natrafiałem na ślady ludzkie, na pozór tak świeże jak gdyby tu niedawno ludzie byli. Były to na kamień wyschnięte bochenki chleba, potłuczone flaszki lub napełnione jakimś trunkiem, któregom się lękał dotknąć.

Były garnki z zaschniętem jadłem i łyżki przy nich leżące, znalazłem kilka narzędzi górniczych popsutych i dobrych, jakieś łachmany zwietrzałe, w kilku miejscach nawet wyschnięte szkielety obciągnięte skórą. Często natrafiałem na mały ołtarzyk ex voto zawieszony na ścianie przez górnika w tém miejscu, uratowanego na wezwanie Najświętszéj Maryi Panny lub świętéj Kunegundy, gdy mu już światło zgasło a jadła nie stało. Były nawet lampki zawieszone nad takimi ołtarzykami', a niekiedy była wypisana na małéj deszczułce historya cudownego ratunku. Znajdowałem nawet po kilka sztuk staréj srebrnéj monety w małych skrytkach za obrazem lub figurką od ołtarzyka.

W jednéj takiéj skrytce znalazłem jakieś papiery owinięte w cienką cielęcą skórkę, która miała formę niby torbeczki, niby szabatury. Rozwinąłem ostrożnie te papiery i znalazłem ciężką i nie wprawną wprawdzie rękę, ale bardzo równo czysto i porządnie spisany dokument, który przechowuje dotąd w kopalni w mojéj skrytce, gdzie także zapaśne światło chowam, trochę wódki i wina, suchego sera i sucharów; bo nieraz spuszczam się do kopalni nie nadalszą wyprawę, ale aby tylko przysposobić sobie światło i żywność na przyszłość.

Otóż ten dokument taki ma początek:

„W imię Trójcy Przenajświętszéj, w imię Ojca i Syna i Ducha świętego, dla wiecznéj pamięci po odbytéj świętéj spowiedzi.“ Po czém następuje: „Działo się na trzy tygodnie przed zamknięciem miasta i oblężeniem Krakowa czasu opresyi Szwedzkiéj. Było może około północy, kiedy mnie pukanie do okna zbudziło etc. etc. etc.“

Nie bądź śmiesznym, rzekłem Kazimierzowi, bo to właśnie o te etc. chodzi.

Nie chcę ci nic zataić, ale dokumentu nie umiem na pamięć, więc opowiem ci tylko treść jego. Górnik się zerwał gdy jacyś obcy panowie zapukali do okna jego i zawołali po imieniu i nazwisku. Gdy wyszli na rynek stało trzy kolas czterokonnych przed bramą. Sześciu panów wysiadło z kolas a pisarz żupny kazał mu nagotować kagańce i poświecić panom. Pisarz odprowadził panów tylko do szybu, z tąd kazali mu wracać. Stary górnik spuścił się z niemi windę i tu rozpalił każdy z nich latarki które z sobą mieli, palili światło jarzące i nic nie mówiąc kazali się prowadzić, lecz dobrze znali drogę, bo sami wskazywali którędy ich prowadzić do kaplicy św. Kunegundy. Tu kazali górnikowi rozpalić świecę na ołtarzu, a pogasili latarki.

„Czyś ty jest najstarszy górnik w Wieliczce?“ — „Ja“ odpowiedział górnik. — „Czy się nazywasz Maciéj Czerniak?“ — „Tak jest.“ — „Jako najstarszy górnik znasz żupy dobrze i wszystkie chodniki?“ — „Znam.“ — „To masz tu zeznać, gdzie się znajduje królewska skrytka.“ — „Słyszałem o niéj, ale nie wiem, gdzieby była“, odpowiedział górnik. — „Jakto? ty nie wiesz? to dasz gardło.“ — „Dam gardło ale wyznaję przed Bogiem, że nie wiem.“

Jeden z panów, którzy byli bardzo bogato ubrani, pochwycił go tutaj za gardło i rzekł: „Mów prawdę, bo nadeszła godzina twéj śmierci, kiedy nie chcesz prawdy mówić, to dasz gardło. Oto jest ksiądz, pojednaj się z Bogiem, a to jest kat, co ci głowę zetnie.“

Jeden z panów obecnych zrzucił z siebie szatę i zasiadł na stopniach ołtarza; był to ksiądz w komży i stule, a w drugim, na którego wskazał starszy z panów, poznał biedny górnik krakowskiego kata, którego raz widział będąc w Krakowie, gdy dwóch wielkich łotrzyków tracono.

Przykląkł tedy przy stopniach ołtarza i wyspowiadał się, potém przyjął wijatyk, który ksiądz miał na piersiach z sobą, a odmówiwszy modlitwę, prosił o to, aby go nie ścinać w kaplicy, bo żal się Boże splamić krwią przybytek św. Kunegundy. Tu wielka zrobiła się zmiana, ksiądz wziął pod rękę górnika, a kat świecił przodem niosąc miecz pod pachą — ksiądz zawołał wielkim głosem: nie można go tracić, to niewinna dusza, ja go stracić nie dam, a panowie kazali górnikowi zawiązać oczy i szli bardzo długo nie mówiąc już i słowa, prowadząc górnika ze sobą, a kiedy mu rozwiązali oczy, znalazł się w takiéj komorce, jakiéj ani znał, ani widział w życiu.

Wystraszony, bo rozumiał że idzie na ścięcie, gdy się rozpatrzył w komorze, upadł na ziemię. Jeden z panów dobył tu kubek i butelkę wina. „Wybacz bracie“ mówił, ale to nie o lada sprawę chodzi, bo o skarby korony — musieliśmy wiedzieć z pewnością, że nie znasz drogi do królewskiéj skrytki, a kiedyś jéj nie znał choć najstarszym jesteś górnikiem w tych żupach, to bądź spokojny — włos ci nie spadnie z głowy. My jako słudzy króla Jegomości musieliśmy cię wziąść twardo, ale teraz zostaniesz wynagrodzonym, byleś milczał i nie mówił nikomu o tém co zaszło.“

Dali tedy górnikowi kubek dobrego wina i sami się napili, a kat odstąpił na stronę.

Tedy pokazują górnikowi jakiś wązki i ukośny chodnik, po którym tylko jedna osoba przejść mogła. Tu była arkada założona bałwanami soli, ale tak gładko były ociosane, jak ciosy, a tak równo ułożone, jak tylko mur dobry bywa. Kazali mu te bałwany wyważać od góry, bo mieli z sobą drąg żelazny i kolof i po wszystkiem mógł pomiarkować górnik, że się dobrze znali z tą skrytką.

Za ścianą ciosów solnych były małe drzwi. Jeden z panów otworzył drzwi te kluczem które miał przy sobie i złożono w skrytce jedną dosyć dużą skrzynkę, ale że lekką była, domyślił się górnik, że w niéj musiały być jakieś papiery. Druga szkatułka nie była wielka, ale okuta i ciężka. Każdy z panów obecnych ucałował ją z kolei i ksiądz i górnikowi pozwolono ją pocałować, tylko kat został za drzwiami.

Długo myślał górnik coby ta szkatułka zamykała w sobie? Chyba koronę polską, kiedy ją tak ze czcią chowano w téj skrytce, w której stały i leżały różne sprzęty i rupiecie, widać z dawnych czasów, bo jest podanie między górnikami jeszcze od czasów św. Kunegundy, że kiedy Tatary kraj naszły, uciekała św. Kunegunda schowawszy skarby koronne w żupach Wieliczki pod ziemią.

Gdy wejście do skrytki założył górnik porządnie ciosami soli, zawiązano mu znowu oczy, a wróciwszy do kaplicy św. Kunegundy, wypłacono mu na ołtarzu 25 czerwonych złotych węgierskich, kazawszy wprzód wykonać przysięgę. Więc milczał, a spisał ten akt tylko dla tego, że nie mógł pójść z tą tajemnicą do grobu, bo to dobro królewskie szło przez jego ręce o które by się mógł Bóg zapytać na sądzie ostatecznym, więc zeznał w tém piśmie według sumienia wszystko, czując się bliskim śmierci i złożył to pismo w skrytce ołtarzyka ofiarowanego św. Kunegundzie, która owéj nocy salwowała go, że nie został ściętym, ale przy łasce Bożéj piętnaście lat jeszcze przeżył po czasach opresyi Szwedzkiéj.

W czasie tych lat zmienili się i panowie żupni i król ustąpił z tronu, więc i ci ustąpili albo pomarli co przy królu byli. Czuwał nad tém górnik bardzo, czy się kto w kopalniach do skrytki królewskiéj nie zgłosi, ale nikt się nie zgłosił, więc aby jaki ślad tego pozostał, że skarby króla są w bani złożone, opisał rzecz całą, a że przysiągł na sekret, składa ten papier w skrytce ołtarzyka.

Kazimierz odszukiwał też zapomnianą królewską skrytkę, w której prawdopodobnie skarby dotąd leżą.

Trzy dni bawiłem wówczas w domu Kazimierza, chciał ażebym się z nim spuścił do zapadłych szybów, ale wyznam iż nie miałem ochoty do takiéj wyprawy.

Po trzech dniach zabrał mnie z sobą Mieczysław Darowski i podobne do ciężkiego kamienia ciężyły na mnie w téj drodze wrażenia, jakiem z Krakowa i Wieliczki wyniósł.

LISTY POPULARNE O MUZYCE.

IV.

Pieśń pod względem muzycznym.

Muzyka, powiedzieliśmy na końcu trzeciego listu, daleko więcéj ma niż poezya środków do wywołania najrozmaitszych wrażeń i uczuć.

Wiemy, że wielka ilość objawów świata zewnętrznego i wewnętrznéj duchowéj natury człowieka, są sobie podobne. Burza, miotająca pieniącemi się bałwanami jest analogią wzruszeń porwanego wściekłością człowieka; spokojny krajobraz wieczorny porównywają poeci, z cichém uczuciem duszy i t. p.

Czujemy sympatyę i antypatyę do ludzi i rzeczy, a to tém większą, im więcéj cieplika uczucie nasze w sobie przechowuje. Są wprawdzie śmiertelnicy, których wnętrze zdaje się zniżyło aż do zera, nic nie czujący, nic nie kochający i nic nie nienawidzący, słowem oddani najzupełniejszéj obojętności; na podobne natury sztuka najmniejszego nie wywiera wpływu. Pomiędzy czytelnikami naszymi nie ma zapewne ani jednéj podobnéj natury, tyle pożałowania godnéj. Wszyscy bierzemy udział w cierpieniach i uciechach bliźnich naszych; jest nawet wielu niezawodnie pomiędzy nami, których antypatya przy widoku zadanéj krzywdy, a sympatya przy widoku szczęścia, które bliźniego spotkało, dochodzą do najwyższego stopnia. Na analogii zaś, sympatyi i antypatyi polega główna zdolność działania wszystkich sztuk. U większéj ich liczby wpada to bezpośrednio w oczy, n. p. przy obrazach i przedstawieniach dramatycznych i t. d. Gdy w dramacie Goethego widzimy hrabiego Egmonta prowadzonego na rusztowanie, wzrusza nas to i bólem przejmuje może bardziéj jeszcze, niż gdybyśmy przypatrywali się straszliwemu widokowi w rzeczywistości.

Trudniejszém zdaje się być naśladowanie, oddanie i przyjmowanie uczuć w tonach. A jednak sztuka celu tego dościga. Pojedyńcze już głosy podają nam wskazówki. Nie widząc człowieka, krzyk trwogi rozróżni każdy od krzyku radości. Krzyk szaleństwa, nie będziemy w żadnym razie uważali za krzyk wesela. W tém właśnie leży przyczyna właściwa na której polega zdolność naśladowania i działania tonów. Na téj podstawie sztuka budowała, szukając w każdym muzycznym żywiole analogii z objawem uczucia. Następujące wskazówki objaśnią to dokładniéj.

Gdy człowiek wpada w afekt, wtedy wedle działających wewnątrz wzruszeń, podnoszą się i zniżają słowa jego. Niewidzialna wzruszeń zmiana manifestuje się przez falę mowy. Wewnętrzne to życie umie, jak wiadomo, naśladować muzyka przez podnoszenie się i spadanie tonów, a głos śpiewny zdoła to w daleko większym obrębie niż organ mowy. W najnamiętniejszych nawet razach nie będzie mogła mowa przekroczyć granic oktawy w obu kierunkach, jeżeli się nie chce na śmieszność wystawić; śpiew może przebiedz i prze-

kroczyć dwie a nawet dwie i pół oktawy. Obszerniejszą daleko jest skala głosu wielkiéj części instrumentów smyczkowych, dętych i t. p. Pojąć dla tego łatwo, dla czego podnoszenie się i zniżanie wzburzonego uczucia daleko jaskrawiéj i dosadniéj przez tony niż przez mowę (deklamacyę) wyrażonem być może.

Uczucia wewnętrzne pobudzają człowieka nie tyllko do zniżania i podnoszenia głosu, lecz i do dłuższego lub krótszego ich wygłoszenia. Że tony w rozmaitszych daleko długościach i krótkościach po sobie następować mogą, niż takowe wygłaszać może mówiący, wspomnieliśmy już w pierwszym liście. Muzyką upodobniając to znamię wewnętrznych uczuć, tworzy rozmaite figury rytmiczne. Tenże sam szereg wyrazów, z temi samemi krótkiemi i długiemi zgloskami, wymawia się w całości w krótszych lub dłuższych momentach czasu, stósownie do rozmaitych uczuć i sytuacyi. Słowa: „Wielki Boże!“ wymówi człowiek w danéj chwili bardzo szybko, jęczący długo w więzieniu wolno i przeciągle. Analogizowanie różnic tych we wewnętrznych uczuciach jest powodem rozmaitych tempów (miar czasu) w muzyce. Melodya n. p. w Don Żuanie: „Zejdz luba do mojéj chatki“, można śpiewać w najwolniejszém aż do najprętszego tempa. Długie i krótkie nóty pozostaną zawsze temiż samemi, lecz w każdem tempie rozmaicie uderzają o ucho nasze. Tak zatrzymują narysowane na globie części świata, kraje i morza też same zawsze stósunki rozmiarowe, lecz odpowiednio do prędszego lub wolniejszego obrotu kuli przebiegają przed oczyma naszemi raz w minucie, inny raz znowu w kwadransie. Skutek tych samych figur muzycznych staje się zupełnie różnym przez różne tempa, w jakich wygłaszane bywają. Słysząc melodyą Don Żuana w wolném przez Mozarta podanem tempie, poznajemy serdecznie przymilające się uczucie, jakie mistrz wielki chciał wyrazić. Jeżeli tęż samą melodyę kto zaśpiewa, w tempie Polki, to zdaje się nam, że słyszymy lekkomyślnego młodzika, chcącego dać poznać kochance, że z niéj żartuje.

Człowiek szalony mówi zwykle z jak największą siłą; podstęp, podejrzliwość szepce tłumionym głosem; dla każdych możliwych rodzajów siły i słabości uczuć, ma muzyka odpowiednie stopnie siły i słabości, od fortissimo aż do pianissimo. Zdolna ona wyrażać także tonami począwszy od najcichszego podmuchu zefirowego, aż do najgwałtowniejszego wichru (crescendo) i na odwrót (decrescendo) a tém samém upodobnić trafnie wzrastające stopniowo i zniżające się fale namiętności. A jak człowiek wzburzony wyrzuca pojedyńcze tylko, gwałtowne wyrazy, inny szepce ponuro, tak ma i muzyka dla wszystkich tych odcieni, odpowiednie swoje akcenta.

Całe koło afektów, uczuć i namiętności dzieli się w ogóle na dwie główne części: na smutek i radość. Do upodobnienia ich używa się w muzyce dwóch rodzai tonów: dur dla radości, mol dla smutku. Prócz rozmaitych stopniowań w obrębie dwóch tych głównych uczuć, od najgłębszego smutku, aż do łagodnego rozrzewnienia, od najgłośniejszego wesela do cichéj radości, mamy niekiedy bolesne i radosne uczucia razem, czyli uczucia mięszane. Każde tego rodzaju objawy, umie muzyk naśladować przez połączenie dur z mol.

Stósownie do mocniejszéj lub słabszéj zdolności jaką artysta posiada, objawia się toż samo uczucie w mocniejszy i słabszy sposób. Z wielkiéj wygranéj cieszy się niezawodnie gracz każdy, lecz młody i żywy, żywiéj to czuje. Jako środki do uwydatnienia żywiéj lub umiarkowaniéj, ma prócz tego kompozytor na zawołanie wyżéj lub niżéj leżące, jaśniejsze lub ciemniejsze farby rodzajów tonowych, dwanaście na dur, dwanaście na mol.

Pieśń weselna w „Wolnym Strzelcu“ śpiewa się z C-dur. Jeżelibyśmy zamknąwszy oczy słuchali melodyi téj śpiewanéj z tonu E-dur, leżącym o jedną wielką tercyę wyżéj, sądzilibyśmy że ją śpiewa podlotek, nie będący już dzieckiem lecz i nie będący dziewicą, w niższéj kwincie F-dur śpiewana, robić będzie wrażenie, że wychodzi z ust staréj panny.

Uczucia niektóre, obracają się w ograniczoném, jednolitém zupełnie kole; w innych położeniach następuje jedno uczucie po drugiem. Rodzaj pierwszy analogizuje muzyka przez jednolitą modulacyę, drugi przez wybiegającą modulacyę. Prawem jest w téj wierze dla kompozytora: jak wewnętrzne w człowieku modulują się wzruszenia, tak je muzyka modulować powinna.

Z dotychczasowych wskazówek poznać było można, że dla każdego pojedyńczego objawu uczucia, o ile takowe pojąć i w słowach wyrazić możemy, znajduje się w muzyce odpowiedni wyraz. Oznaczenie tych pojedyńczych analogü tonowych, było dziełem rozumu rozróżniającego. Natura o tém nic nie wie. W umyśle człowieka są wszystkie pojedyńcze znamiona namiętności połączone w jednym czasie, a muzyka łączy tak samo wszyśtkie analogie owych wzruszeń w obraz ogólny. Usposobienie melancholiczne n. p. porusza nie tylko i wymaga odpowiednich w téj mierze, wolnych tonów, rytmów i tempów, lecz mieszka także w głębszych regionach uczucia, objawia się w głuchych głosach i t. d. do wyrażenia których potrzeba molów, akcentów, piano i t. d. Jeżeli kompozytor nabył odpowiednią znajomość istoty wszystkich uczuć ludzkich, jeżeli okrom tego posiada wrażliwą fantazyę, która jest konieczną, by przenieść się w rozmaite sytuacye i uczucia, by w chwili odtworzonego życia przypatrzyć mu się poniekąd w samym sobie, jeżeli to wszystko posiada, to wtenczas do treści słownéj każdéj pieśni poszuka i znajdzie odpowiedni rodzaj tonu i taktu, odpowiednie tempo, podnoszenie się i zniżanie tonów, odpowiednie długie i krótkie zgłoski i t. p. Przez szczęśliwe połączenie wszystkich analogii powstaje następnie cała analogiczna melodya uczucia, która serce nasze z większą i bezpośredniejszą siłą niż jakakolwiek inna sztuka, zmusza do podobnego usposobienia.

Wskazówki te odnosiły się przedewszystkiem tylko do utworzenia melodyi śpiewu, do wyrazu muzycznego, do którego dostateczny jeden głos, i to głos śpiewający, łączący się z słowami poety. Lecz tém, jak wiadomo, nie wyczerpnięto bynajmniéj środków muzyki do wyrażenia uczuć. Przychodzi tu jeszcze do tego towarzyszenie (accompagnement) jakiekolwiekbądź instrumentu, fortepianu, harfy, gitary lub całéj orkiestry, a z tąd przychodzę pod rozwagę

harmonia, kilka głosów bez słów, i instrumentacya (rozmaite farby głosów) o których poźniéj mowa będzie.

Przez podane wskazówki przybliżyliśmy się o kilka znowu kroków do znawstwa muzyki, jak to na specyalnym pokażemy przykładzie.

Przed niedawnym czasem wydał jeden z estetyków wiedeńskich dziełko, w którém twierdził, że cały świat znajdował się dotąd co do muzyki w najgrubszym błędzie, o ile jéj duszę t. j. zdolność opisywania i wzruszenia uczuć przyznawano. Téj bowiem, twierdził, zgoła nie posiada! Muzyka sama przez się jest igraszką tonów dla ucha tak mniéj więcéj, jak gra kamyczków w poruszanem kaleidoskopie dla oka. To co przy śpiewaniu pieśni czujemy, nie jest skutkiem tonów, lecz jedynie wyraźnie wymawianych słów; a uczuć, jakie wedle słuchu naszego przemawiają do nas z czystéj muzyki instrumentalnéj n. p. symfonii, nie opisuje Beethoven, lecz my włożyliśmy je w skutek rozdrażnionego chorobliwie i wzburzonego umysłu. Jako dowód przypadku pierwszego przytacza autor, że często moglibyśmy pod jednę i tąż samą melodyę pieśni lub opery podłożyć inne zupełnie słowa, nie naruszając w niczém urojonéj prawdy; na poparcie ostatniego mniemania ma posłużyć to, że rozmaici słuchacze przy jednéj i téj saméj muzyce instrumentalnéj, często wcale różnych doznają uczuć.

Że myśli podobne powstać mogły w głowie ludzkiéj i być uważane za prawdziwe, nie myślimy się dziwić. Nie ma przecież idei, któréjby się zląkł duch nowatorski i nie ma tak wielkiego błędu, któregoby zręczna nie uniewiniła dyalektyka. Lecz zdumieć się trzeba, dowiadując się, że wszystkie prawie dzienniki powitały owo dziełko jako pełne nowych, trafnych i prawdziwych pomysłów.

Pojąć rzeczywiście trudno, jak połączeniu licznych żywiołów muzycznych odmawiać można zdolności wyrażania uczuć, tém bardziéj, że niema prawie człowieka, któryby sam tego nie doświadczył. Na bębnie wyrazić tylko można rytm i głos. Jakże różném jest użycie obu środków przy marszu żałobnym i marszu wzywającym do szturmu! Tamten ma rytmy wolne i głosy głuche, ten prędkie i huczące. Cóż dyktuje w tym przypadku rozmaite rytmów i głosów użycie? Czyż nie analogia uczuć wewnętrznych? Smutek przy tamtém, śmiałe wzruszenie przy inném. Wedle nowéj nauki estetyki czyżby dodane do marszu żałobnego słowo „prędko“ zamieniło dla uczucia naszego rytm wolny na prędki, słowo „głośno“ bębny głuche na huczące? Lub czyż wymówione przy tém słowo: „Hop, hop, cwałem“ zamienią rytmy smutne i głosy bębnów na wesołe? Jeżeli zaś w tym przypadku przeciwnemi wręcz słowy odebrać nie można rytmowi i głosowi bębnów ich wyrazu, to musi on być właściwym i pierwotnym. A jeżeli słowa: „wiedziemy cię na rusztowanie“ wzbudzają w nas okropne wyobrażenia smutne i przykre uczucie, wspomniana zaś melodya inne wesołe oznacza usposobienie, to tony muszą same przez się posiadać pierwotną i właściwą im siłę analogizowania i wyrażania, któréj przeciwne słowa nic odjąć nie mogę.

Doświadczeniem tém, niczém zbić się nie dającém, kończymy na dzisiaj.

LISTY Z SYBERYI.

(Ciąg dalszy.)

Wyjechaliśmy z Wiercholeńska, którego jedyną zasługą, że ma być starszy niżeli Irkutsk nawet, i że leży w pięknéj choć nie wielkiéj równinie nad Leną, która od zachodu stanowi jego granicę, kiedy od południa, wschodu i północy skaliste ściany, stanowiące brzeg Leny od Tajgi go odgraniczają.

W całéj Rosyi a zatém i w Syberyi biedny chłop ma przywiléj, czy obowiązek wozić urzędników, wojsko i aresztantów, a te podwody są tak mało liczone jak jego włosy na głowie. „Naczalstwo“ każe zaprzęgać, a chłop zaprzęga. Zachodzi tylko czasem kłótnia o to, czy to jest podwoda „ziemska“ czy też „obywätëlska“ — ale koniec końców zaprzęga chłop swoje konie i wsadzi kogo „naczalstwo“ każe.

I po nas przyjechali chłopi ze wsi blisko o milę od Wiercholeńska odległéj, posadzili nas na swoje „telegi“ i kłusem wyruszyli z nami w dalszą drogę.

Jeden z tych naszych furmanów zaczął się z nami wdawać w rozmowę, ostremi słowy wyraził się o naczelnikach, którzy ich nie szczędzą, a po prostu uważają za stado owiec*), które się strzygą. Między ludnością wiejską a owcami zachodzi jednak różnica; kiedy ostatnich bowiem gospodarz raz, a najwyżéj dwa razy do roku strzyże, kiedy wełna już odrosła, urzędnicy swoje stado strzygą co moment, a kiedy nożycami uchwycić nie mogą wełny, palcami ją wyskubują. To jest opis postępowania naczelników, jaki mi dał mój chłop — „jamszczyk“ (furman).

Jeszcze mieliśmy jaką ćwierć mili do wsi, z któréj nasi furmani byli, kiedy nasz robił nam propozycyę, żeby do niego wstąpić. Choć raz chciał mieć satysfakcyę poczęstować u siebie Polaków, o których ze słuchu wiedział, że to są ludzie uczciwi „czestnyj narod.“

Nie było trudno uczynić zadość temu życzeniu, gdyż od Wiercholeńska nas już tylko jeden „starszyna“ konwojował, który nam musiał towarzyszyć aż do najbliższéj wołości. Lena, Tajga i burjacki step są dostatecznemi stróżami; one wstrzymują najodważniejszego od ucieczki.

Nam jednak propozycya nie bardzo się podobała. Znaliśmy już dostatecznie charakter syberyaka, żeby nie mieć podejrzenia, że liczy na dobre wynagrodzenie za swoją gościnność, a tu u nas były pustki w kieszeni. Ale cóż było robić! Trzeba było uledz konieczności, bo furman groził,

*) Mnie samemu raz (w r. 1869), w rozmowie, jaką z adjutantem generała Szałasznikowa miałem o Syberyi, kiedyśmy przyśli do urządzeń gminy (obszczestwa) powiedział, nie obwijając rzeczy w bawełnę: „Obszczestwo —? — eto stado baranów!“

że pozostające dwie mile sześć godzin przynajmniéj pojedzie, jeśli do niego nie wstąpimy, tak żeby nam się porządnie znudziło. Zajechaliśmy więc do wsi, nie wielkiéj wprawdzie i w któréj także ani jednego większego domu nie było, lecz za to prawie wszystkie domy były porządne.

Wstąpiliśmy do jego domu. „Chaziajka“ gospodyni, jak syberyak swoją żonę tytułuje, zaraz nastawiła ogromny samowar, — znak że nam była rada, a choć było bardzo gorąco, po kilka filiżanek herbaty musieliśmy wypić i zjeść do syta pszennego — choć razowego — chleba.

Po tém poczęstowaniu postawiła nam na stół ogromną miskę poziomek i czarnych jagód, rzeczy których już w owym czasie czwarty rok nawet nie widziałem, i do nich dała z jakie dwa garnce słodkiego mleka. Poczciwa kobieta słyszała, że to wszystko lubią polacy, żyjący o milę od wsi, w któréj właśnie z Czytelnikiem się znajdujemy, i ztąd wnioskowała, że to jest wszystkich polaków ulubioną potrawą.

Z resztą nie daliśmy się prosić do tych dawno nie widzianych łakotek. Nie wstydzę się przyznawać, że wszyscy, ilu nas było, popełniliśmy grzech łakomstwa, a to do tego stopnia, że śladu jagód nie pozostało się na misce. Gospodyni i gospodarz rzetelnie się z tego naszego łakomstwa ucieszyli. Zabawiliśmy przeszło dwie godziny u naszego przyjaciela, a kiedy już mieliśmy odjechać, pytaliśmy się, ile się za wszystko należy.

Syberyak był zdumiony z tego naszego pytania i pytał się ze swojéj strony, czy u nas gość płacić musi za to co zjadł, gdy go ktokolwiek do siebie zaprosił? Rozumie się że mu wytłómaczyliśmy, że u nas gość nigdy za nic nie płaci, że to wszakże my nie w naszéj stronie, i że, — o ile Syberyą poznaliśmy — to wszędzie się za wszystko płaci, co się u kogo spożywa.

„Poznaliście tylko podłych, zepsutych już syberyaków, nad wielkim traktem. U nas jeszcze jest zasada: gość w dom, Boch w dom! Otóż jeśli koniecznie chcecie coś zostawić w mojéj chacie, to połóżcie Bogu na świeczku!“ Położyliśmy każdy po trzy kopiejki przed zakopcony i opalony obraz jakiegoś „czudotworcy“, i za to mieliśmy jeszcze w perspektywie, że cały dom za nas modlić się będzie, póki owe świeczki wystarczą.

Pożegnaliśmy naszych dobrych gospodarzy, wsiedliśmy na fury i pojechali w dalszą drogę. Na drugi dzień jeszcze jechaliśmy jedną stacyę na telegach. Pod Żygałowem przewieźli nas przez Lenę i odtąd już — podróżowaliśmy w łodziach.

Czytelnik nie uwierzy, jaki wpływ na nas wywarła ta zmiana. Póki jeszcze na teledze się siedziało, na najgorszym wprawdzie z wszystkich transportowych środków w świecie, zawsze jeszcze żyła w nas nadzieja bliskiego powrotu do krają, z którym nas niejako łączył sposób podróżowania, jazda na jakim takim wozie. Jechać po wodzie, na nie bardzo wielkiéj łódzce, nie poruszonéj parą — to jest dziko, to przypomina człowiekowi, że jest więźniem. Smutnie się robi i łzy gorzkie ronisz, lecz nikt z pociechą tobie nie spieszy, noc i dzień myślą myśl swoją gonisz, ale nikt w świecie cię nie pocieszy. Jesteś samotny, choć gwarzą w około, wszak i to więźnie, nie wolni to ludzie; gwar ich, jak w domu nie brzmi wesoło, lecz znów tylko łzy, znów smutek obudzi.

A tu Lena przed tobą, za tobą, w około ciebie. Niebo, woda, a daleko olbrzymie ściany zbudowane chyba przez olbrzymie siły natury, dla bronienia swych olbrzymich parków od olbrzymów — mamutów, a na widnokręgu — parki nietknięte ręką ludzką, nie przeszperane okiem ludzkiem i stopą ludzką nie deptane jeszcze, bo Tunguz — to jeszcze nie człowiek, zbyt silnie swą fizyonomią, swemi zwyczajami przypomina goryllo i pokazuje, że Darwin nie bardzo się myli.

Ogromna to rzeka ta Lena; kto zna literaturę powieściowo-amerykańską, mimo woli przypomina sobie przy widoku Leny z jéj niezliczonemi wyspami, zakrętami i zaroślami powieści, Marryata, Coopera i Gerstäcktera i patrzy rychło na łódkę napadną rozbójnicy, którzy mieli swe kryjówki na wyspach Missisippi.

Wszakże to nie długo buja fantazya w tych marzeniach; rozum zaraz zaczyna rozbierać kwestyę, porównywa i znajdzie — niemożliwość dla odegrania marryatowskich dramatów na Lenie. Nie rząd temu przeszkadza; rząd rosyjski w ogóle nie zbyt się troszczy o wewnętrzne bezpieczeństwo, bo tylko strzeże by się narody i ludy polityką nie zajmowały i swobód nie zapragnęły. Ale natura tu staje na przeszkodzie. Missisippi wpada do wiecznie otwartego morza, przerzynając kraj stósunkowo do Syberyi przeludniony, a Lena płynie do północnego lodowatego oceanu, przez kraj, w którym im daléj tém mniejsza ludność, daléj od siebie miasteczka a nawet i nie wielkie wioski. Kiedy więc na olbrzymiéj rzece Ameryki ruch jest nieustanny, a jeden okręt, jeden parowiec drugi ściga, na olbrzymiéj arteryi Syberyi tylko jest ruch w czasie tak zwanych „pawozek“, t. j. kiedy kupcy na wiosnę jadą na jarmark do Jakutska i tu owdzie przy wioskach i miasteczkach się zatrzymują, dla zbycia niektórych towarów. Wtenczas rzeczny rozbójnik musiałby mieć bardzo liczną bandę, żeby na masę podróżujących wykonać napad, i — w żadnym razie nie dostałby gotówki, a tylko towar, bo handel z Jakutskiem jest handlem zamiennym, za towar przywieziony płaci się futrami. A cóż z masą towarów począć?

Nikt nie pojmuje jaka radość nas przejęła, kiedyśmy stanęli na pierwszym noclegu ku północy od Wiercholeńska. Wszyscy, ilu nas było, przywykliśmy od kilku lat nocować we więzieniu, w którém jeśli nie we dnie, przynajmniéj w nocy trzeba być pod zamkiem, i gdzie najczęściéj pijany podoficer i żołnierze również nie trzeźwi, wieczorem i rano wszystkich „powierają“*) czyli jak miałem zwyczaj mówić, poniewierają. Na pierwszym za Wiercholeńskiem noclegu, starszyna rozstawił nas na kwatery, za które — jak się samo z siebie rozumie — ludziom nic się nie potrzebowało płacić, bo „arestant, to carski czełowiek“,

*) Powierka, sprawdzanie, przegląd czy wszyscy — czy żaden nie uciekł.

a chłop rosyjski, usamowolniony, t. j. odjęty obywatelowi, stał się własnością cara, który nim, przez swoich czynowników dysponuje, jak — — jak niegdyś „baryń.“ Tylko ten baryń, ten pan musiał mieć wzgląd, że chłop-niewolnik jest jego rzeczywistym kapitałem, wartującym do tysiąca rubli, a czynownik rządzący tymże chłopem w imieniu cara, tego względu nie ma.

(C. d. n.)

KSIĄDZ AUGUSTYN KORDECKI.

(Z ryciną.)

Augustyn Kordecki ksiądz, sławny przeor księży Paulinów na Jasnéj Górze, mąż wiekopomnéj w dziejach naszych pamięci, który przeważnie przysłużył się do podniesienia z upadku Polski i obok Stefana Czarnieckiego postawiony być może.

Nieprzyjaciele plądrowali po całéj naszéj ojczyźnie, Kozacy i Moskwa grasowali na północy, ze Wschodu Rakoczy książę siedmiogrodzki krwią i dymem znaczył ślady swéj drogi, Karól Gustaw król szwedzki po poddaniu się Warszawy, w uniesieniu dumy, pewny że koronę polską włoży na swe skronie, wszedł ze swym orszakiem odwiedzić na Wawelu kościół katedralny i groby królewskie. Niepomny na świętość miejsca, w kapeluszu na głowie oglądał pomniki. Oprowadzał go sędziwy kapłan i zasłużony pisarz, kanonik Szymon Starowolski. Kiedy przyszli do grobowca Władysława Łokietka: „Oto jest pomnik króla, (mówił Starowolski), który po trzykroć z Polski i tronu ustępować musiał, a wrócił i panował szczęśliwie.“ Na te słowa odrzekł Karol Gustaw ze zmarszczonem czołem: „Ale wasz Jan Kazimierz, któregom mocą oręża wypędził z Polski, już nie wróci do tronu.“ Starowolski wzniósłszy oczy w górę, przemówił poważnym głosem: „W ręku Boga są losy narodów i króli.“ Słowa te złamały duszę najezdnika, odkrył głowę i z uszanowaniem obszedł resztę pomników. Kordecki przybywszy do Krakowa za interesami swego zakonu, był obecny téj scenie. W parę dni opuszcza Kraków i przybywa do Częstochowy. Znalazłszy tam dosyć licznie zgromadzoną szlachtę, postanowił bronić do upadłego ten gród święty, zapał swój przelewa w serca szczupłéj garstki obrońców, a licząc 140 szlachty i żołnierzy i 70 zakonników śmiało stawia czoło licznym, bitnym i zwycięzkim Szwedom. Od 18 Listopada 1655 r. do 26 Grudnia t. r. trwało oblężenie częstochowskiego klasztoru. Straszliwe szturmy odpierano po bohatersku. Generał Müller na czele 10,000 regularnego wojska, siły wielkiéj jak na owe czasy, z liczną artyleryą i burzącemi działami daremnie usiłował zdobyć ten gród święty. Dzielni obrońcy upadali nieraz na duchu, były chwile zwątpienia, ale Kordecki jak anioł stróż czuwał i bronił od hańby. W dzień uroczysty dla Polski, w wigilią Bożego Narodzenia, najstraszniejszy ze wszystkich stron Müller szturm przypuścił. Już się Szwedzi po drabinach na mury wdzierać poczęli, gdy przytomność i odwaga ks. Kordeckiego pokrzepiła obrońców i po krótkiéj walce ręcznéj, w wielu miejscach na szczytach murów, zwycięzko odparto najezdnika. Müller w nocy w cichości ściągnął swój obóz, a obrońcy w pierwszy dzień święta Bożego Narodzenia odetchnęli swobodnie. Cudowna ta obrona Częstochowy podniosła upadłego ducha w narodzie. Lud z gór karpackich poruszył się pierwszy. Stefan Czarniecki podniósł swą chorągiew. Naród milczący, zrozpaczony i bezwładny, podnosi głowę, poczuwa swe siły i wszystkim dokoła wrogom nastawia piersi. Karol Gustaw uchodzi za morze, Rakoczy pobity błaga o łaskę i zmiłowanie, na północy zwycięzkie nasze sztandary posuwają się naprzód, król wraca i odzyskuje dwie swoje stolice Kraków i Warszawę. Tak szczęśliwe zmiany spowodował Kordecki, poświęceniem i odwagą, a ocalając cudowne miejsce od najazdu szwedzkiego, wlał życia nadzieję w skrzepłego ducha narodu! Sami to nawet nieprzyjaciele przyznawali; gdy bowiem wracali od oblężenia klasztoru, ułożyli sobie uszczypliwe przysłowia, któremi próżność drugich wyśmiewali: „Kiedyś tak wielki rycerz, idźże zdobyć Częstochowę“, lub: „Częstochowa to grób najdzielniejszych rycerzy“. Kordecki na godności prowincyała Paulinów w Polsce i Szląsku r. 1673 przeżiębiwszy się zszedł z tego świata, zostawiając po sobie nieśmiertelną sławę i wdzięczność narodu. Wizerunek Kordeckiego olejno malowany w całéj postaci, w krużganku klasztoru Częstochowskiego przechowany widzimy. Przed kilkunastu laty, wystawiono mu przed kościołem pomnik, którego rycinę podajemy dziś czytelnikom, a na który już dawno zasłużył.

Szarada.

Pytanie: Czem się nasza nadwarciańska wszystka
Różniła od pierwszego pierwszego drugiego?
Odpowiedź: Twardy orzech był i z tego świstka,
Lecz nie miał jądra żadnego.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 32: *Upamiętanie.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu L. W. w Gnieźnie: Nic o tém nie wiemy. — Panu I. S. w Stankowie: Jedną z nadesłanych użyjemy. — Pani Zmor... na prowincyi: Oczekujemy na łaskawie przyobiecane Pamiętniki. — Panu Mot... w Berlinie: Wiadoméj pracy dotąd jeszcze nie otrzymaliśmy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tulodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).